ROZMAITOŚCI.

Dnia 5. Marca. № 10. Roku 1856.

RIBEIRA

czyli

OBRAZ ZA TARCZĘ.

(Dokończenie. Ob. Nr. 9. Rozmaitości.)

III.

I z tém doszedł do domu Panolfa. Dwóch strojnych ze służby wprowadzili go do wspaniałéj komnaty, rzeźby przystrajały odźwierza i wykłady w powale i około okien, jedno wychodziło na ogród rozległy, z za drzew przebijały się przestrzenie morza. Po pokoju przechadzał się mężczyzna twarzy niezbyt ujmującéj o rysach spowszedniałych, poziéwał chodząc; u okna siedziała panienka zwrócona ku ogrodowi, głowa na ręku sparta zdawała się chwytać podwiewy wonne i świéże od morza. Czego się nigdy niespodziewał, zastał Ribeira i poznał w panience ową piękną damę, o któréj właśnie przed chwilą z Beatą rozmawiał, zmięszał się, rumieniec zalał i stracił zwykłą sobie śmiałość, ledwo był w stanie wyjąknąć, kto jest i co go przywiodło. W rzeczy bo saméj Laura była piękna; zalotu i uroku w twarzy dodawały: włos — co rzadka u południowców — złotopłowy a pełny; szyja powodna jak u łabędzia za tchnieniem najlżejszém woli, i oko pałające ogniem które łagodziły rzęsy najpowabniejsze za każdém chwiewem jakby rozsiewały skarbami czucia.

Ribeira stanął jak niemy i zapomniał władzy w języku, słowa przemówić nie mógł, ręka opadła drżała na pióropuszu. Kupiec przypisał wzruszenie to Ribeiry nieoswojeniu ze światem, więc mu na swój sposób dodawać serca, więc podniecać otuchę. Ale mina protekcyjna ocknęła wkrótce malarza, wrodzona duma przemogła; wręcz podniosł czoła i w odwet podniecie protektorskiéj odpowiedział:

Nie przepych mię zastrasza, ani bogactwo lub coś podobnego mięsza mię i upokarza; duszę moją razi Bóg tylko pięknością, i jeźli mię pan zmięszanym widział, to dla tego; żem ujźrzał najdoskonalsze dzieło stworzyciela.

I na to wzrok jego stoczył się i dotknął oka Laury. Czarownym sposobem przebiła się u niéj wzajemność i zlała

w jeden wyraz uczucia Ribeiry. Słowa nie mówiąc, promieniem oczu porozumieli się, i pokochali. A Panolfo ani przeczuwając coby być mogło, mimochcąc i mimo wiedzy podsycał tę miłość gwałtowną; gdyż im więcéj się z łaską protektorską w obec artysty nastawiał, tém silniejsza obawa obrazy przenikała Laurę; błagającym wzrokiem siliła się złagodzić nierozsądek ojca, a Ribeirze uskromić boleśnego upokorzenia.

Powiadają że nie bez talentu jesteś mój mistrzu? rzucił nakształt pytania kupiec.

Ribeira niby ukłonem pochylił głową.

Aleś ubogi i pracować przymuszony. Życzeniem mojém było zawsze kunszt pielęgnować i sztuki wspierać. Da się widziéć czy zasługujesz pan na opiekę, jaką mu niosę.

Chmurą nabiegło Ribeirze czoło, i przekąsił wargi ażeby zamknąć odpowiedź wartą zuchwalstwa. Laura sama tknięta mimowolnie obrazą, prędko by ranę zalać, zapytuje:

Pan nie tutejszy, wszak prawda?

Dźwięk jéj głosu, przebił mu się do głębi duszy, zachmurzone rozjaśniło czoło, i odpowiedział: Ja rodem z Hiszpanii w Xatiwie koło Walencyi. Dzieckiem wyszedłem z domu a poźniéj nie nawracałem; uważam się krajowcem pięknéj Italii, już że od młodości tu bawię, już że i dusza moja do niéj przylgnęła. Przebywałem kolejnie w Rzymie, w Wenecyi, w Florencyi i Parmie, i ślady pobytu mego wszędzie pozostawiałem; jak pszczoła ażeby wysysać i uzbierać słodycze fantazyi, gościłem wszędzie gdzie przykwitał geniusz malarstwa. Teraz oddycham w Neapolu, i Neapolu się nie popuszczę.

A cóż tu jest w Neapolu, zapytał kupiec, co nam użycza piérwszeństwa?

Ribeira spłonił się, lecz wkrótce się opamiętał, i dodał: W tém tajemnica moja.

Laura na to:

Mój ojcze, mówi, bardzo-ś ciekawy. Może pan chce nam dać poznać, że tu serce jego zajęte.

Tak pani — potwierdził malarz, serce zajęte, po piérwszy i raz ostatni.

Teraz Laura zapłonęła rumieńcem i zmięszania swego nawet pokryć nie była wstanie.

Ale ojciec: Dajmy pokój temu, mówi; ty mnie zarzucasz żem ciekawy, a sama-ś sto razy ciekawsza. Siądź pan lepiéj, i pomówmy o co nam chodzi. Czy chciałbyś zarobić dwadzieścia pięć dukatów? Ale najprzód powiedz mi pan jaki styl jego?

Powiedz pan mnie raczéj, rzecze malarz, jakiego mu obrazu trzeba?

Wiechy na mój magazyn.

Ribeirę wstrzęsło, o mało nie spadł, tylko błagający wzrok Laury powstrzymał go; ale wrzało w nim tak mocno, że polecenia ani przyjąć ani odrzucić w téj chwili nie mógł.

Panolfo swoje daléj: Może odmawiasz? wszak to dla pana właśnie sposobność, jeżli masz talent pokazać się światu. A uda się, tłumem rzucą się wszyscy koledzy moi do pana.

Czy zostawisz mi pan wolny wybór przedmiotu? zapytał Ribeira; zlecenie

pańskie będę mógł przyjąć pod jednym warunkiem, by mi wolno pójść za własném tchnieniem.

Zgoda, mam zaufanie do pana, maluj co chcesz.

A cenisz pan swoją wiechę?.. zapytał malarz z przydrzyzkiem.

Mówiłem, dwadzieścia pięć dukatów; zapłata myślę sowita. Zrób pan, a jeźli mi przypadnie do smaku, każę się sam malować i sumę podwoję. Sam pan widzi, żem człek uczciwy.

Dziękuję panu, odpowie Ribeira wstając; gdybym cenę sam miał naznaczać, możebym żądał pięćset dukatów. Ale porozumiéć się z nami niema sposobu. Upraszam jedynie pozwolić mi na jeden dzień zamówioną wystawić wiechę, za to pan i złamanego szeląga nie dasz. Słusznie pan mówisz, trzeba się dać poznać; więc korzystam z sposobności, która mi się stręczy. A teraz pozwalam ci panie rozgłaszać, żeś doskonały zrobił układ z piérwszym malarzem we Włoszech. Wkrótce się zobaczymy. Żegnam panią Signora.

Laura podniosła się, oko jéj łzą zabiegło, a wzrok zdawał się mówić:

Bądź czém się mienisz, a serce Laury będzie nadgrodą talentu twego.

Ribeira wyszedł, zajęty myślami zwolna schodził ze schodów, potém nawrotem przez ogród szedł popod okno tego pokoju gdzie bawił, gdy w tém spadła kiesa przed niego; w niéj pięćset dukatów i tych słów kilka:

Mój majątek i ręka piérwszemu malarzowi w Neapolu.

IV.

Gdzieś we dwa tygodnie po téj rozmowie, tłum ludzi od samego ranka otaczał dom Panolfa; wrzawa i uniesienia gwałtowne, zwyczajem południowców wywoływały malarza, który nocą, na przyczółku sklepu Panolfa wywiesił przepyszny obraz „Męczeństwo S. Bartłomieja“. Cudowny wyraz boleści świętego zastanawiał i najobojętniejszych co przechodzili, każdy stawał z zadziwieniem, upajał się widokiem niewysłowionych piękności, i uczuciu nieméj admiracyi szukał potém ulgi w głośnym okrzyku uniesienia na tyle wdzięków, tyle sztuki i bogactwa myśli, przy tak zatrważającéj wystawie, jaką jest męczeństwo świętego. Święty męczennik leżał powalony na lewy bok o ziemię, spętane nogi jeden oprawca podtrzymywał, drugi podwijał prawe ramię ujęte w stryczek ku głowie, i z wyrazem w twarzy szatańskim co to się poi boleściami ludzi, wsadzał z krwią najzimniejszą i szyderczym przyśmiechem palec w nasiekę między skórę i mięso, jak gdyby się zabierał łupić zwierzę jakie ze skóry. A na te wszystkie okropności twarz świętéj ofiary, śród ucisków i bolów widocznych, oblana boską łagodnością, z pogodą duszy ponosiła męczarnie ciała w imię Pana i w wyraźném natchnieniu wiary. Przedmiot podobny dotąd nie miał jeszcze tłumacza, i nieznaną jeszcze była potąd potęga pędzla do tego stopnia.

Pogłoska o tak dziwnéj wystawie nad sklepem Panolfa, rozbiegła się lotem po całym Neapolu, rzesza za rzeszą ulica-

mi wtłaczała się na plac królewski, i samemu Wicekrólowi wpadło osobiście się dziwu przypatrzyć. W świcie więc ze dworzanami i ulubieńcem Ottavio przeciska się pode drzwi kupca, gdzie tłum najzagorzalszych miłośników sztuki i zapaleńców; tu jak gdyby ich tchem rażony sam w zachwyceniu zdumiony, mimowolnie wykrzyka:

Kto stworzył to arcydzieło?

Nikt nie wié.

Dla czegoż mistrz się ukrywa? powtarza Monterry, niech wystąpi a pewien będzie mego szacunku i mojéj przyjaźni. Chciałbym tylko ażeby wszyscy gwazdacze neapolitańscy u niego się uczyli. Powtarzam: kto to malował?

Eccomi! Ja jestem, zawołał Ribeira, występując z koła.

Kto ty jesteś?

Moje imię Ribeira — wczoraj nieznany nikomu, dziś czém Wasza Excelencya mię zrobisz.

Jakiej-że żądasz nagrody?

Zaszczytu zostawania piérwszym malarzem Wicekróla Neapolu.

Niech to przy odgłosie trąb po całym Neapolu ogłoszą. A wiele miałeś zapłaty za twoje dzieło?

Monsignore, odmówiłem dwadzieścia pięć dukatów, które mi kupiec Panolfo dawał, ale może mi na inny sposób zapłacić. Kocham córkę jego Laurę.

Będziesz ją miał, odpowie Wicekról, i jeźli panna cię zechce, daję ci słowo, że jutro się pobierzecie.

I nazajutrz było wesele.

Ribeira, poźniéj „il Spagnoletto“ przezwany, stał się wkrótce najsławniejszym z malarzy szkoły neapolitańskiéj, i ulubieńcem wyłącznym Hrabi de Monterry. A Panolfo, to przyznać trzeba, zezwolił z ochotą na rękę córki, i dzień żaden odtąd nie mijał, by się nie chlubił: jam-to ja piérwszy, wykryłem talent mojego zięcia.

La figlia dello Spagnoletto.

Wielką sławę i wziętość ma dziś we Włoszech romans znanego z emigracyi neapolitańskiéj *Don Francesca Pallavicino di Proto Duca dell' Albaneta* „La figlia dello Spagnoletto.“ — Obraz wieku siedmnastego we Włoszech, na zdarzeniach z życia Ribeiry osnuty.

Albaneta mówi:

Słynął w wieku XVII w Neapolu malarz znamienity, Giuseppe (Francesco) Ribeira. Kościoły Neapolu i gabinety dotąd święcą sławę mistrza, który przy względach księcia d' Ossuno umiał wznieść się do piérwszych zaszczytów godności. Został nadwornym Wicekrólów malarzem, sędzią dzieł sztuki nadobnéj, i tego co szło za tém: został wielkim panem na równi z hiszpańską Grandezzą. Utrzymywał dwór okazały, i obyczajem na dworach: „Cavaliere servente“ deptał na wysługach przy Jéj Mości, przy jego zaś własnéj osobie, na zawołanie stał „Gentiluomo“ który mu pędzle podawał, a w pewnych chwilach w głos upominać był obowiązany: Signor Cavaliere (Ribeira był kawalerem di S. Jago) „Dosyć pracy, rozerwij się przechadzką.“ Wieczorami bywały u niego zgromadzenia; zamieszkiwał pałac który poźniéj przeszedł na Łukasza Gior-

dana, a w domu podejmował gościa z godnością jaka magnatom hiszpańskim właściwa. Dumę jego uśmierzała wesołość i pogoda umysłu, lubił żarty, ale bywał opryskliwy nawet namiętny. Żona jego Leonora Cortes była piękna i rzadkich przymiotów duszy, tylko że się w zbytkach i w wystawności kochała. Świetności familii dodawała Maria Rosa, najstarsza z pięciu córek, panna rzadkiéj urody, a co sprowadziło upadek i niesławę całéj rodzinie. Było-to w czasach rozruchów Masaniella, gdy do Neapolu przybył Don Juan de Austria, syn Filipa IV, młody, wesoły pan, za łaską którego próżność zapędziła Ribeirę, iż go w dom swój na wieczór muzykalny zaprosił, nie przewidując ztąd zawiązku miłości u swojéj córki. Nieszczęsna w niepamięci sławy dziewiczéj uchodzi do Palermu za zwodzicielem. Dumny malarz przeklina siebie i próżność swoją, opuszcza stolicę, przenosi mieszkanie do Posilipo, i zamyka się przed światem. Wkradła się tu niezgoda domowa, wzajemne wyrzuty familijne zamieniły ustronie w piekło domowe. Porywczy Włoch niedotrwał, znikł dnia któregoś z jednym sługą swym wiernym, i niewiadomo co się z nim stało. Autorowie hiszpańscy mówią, że się lat wiele po świecie tułał i w Neapolu w nędzy umarł. Neapolitańscy naznaczają mu rok urodzenia 1589 a zgonu 1656. Córkę zabiły żal i tęsknica.

Wspomnienia z wielkiéj wystawy Paryskiéj w r. 1855.

W familijnych papierach moich nie mogę się doczytać kto dziad mój lat temu sto; jednak są ludzie u nas co herbowych pradziadów mają i rodowód swój dokumentnie z drugiéj wojny krzyżackiéj wywodzą. Chociaż ja za nimi nie zdążę, przecież muszę niezawodnie mieć jakiegoś pradziada, a nawet pradziadów tylu, ilu i drudzy liczą. Przed okiem ducha mego ścielą mi się szeregiem, stoją jeden za drugim, każdy z nich w stroju i kroju swoich czasów, z narzędziem w ręku jakiém pracował, jakiém kował nad dziełmi swojego wieku. Liczę ich jak idą po sobie, karbuję na deszczułce ród za rodem jak spływa, i dziwno mi że to tak szybko szereg jeden po drugim tonie w przeszłości.

To co powiem, pewniejsza jest jak nie jedna genealogia prześwietnych domów, a to: że mój pięćdziesiąty gdzieś tam w zatyłku pradziad był, — na ten lub inny sposób, — świadkiem krwawych mordów jakiemi mocarstwo państwa rzymskiego losy przeznaczenia swego uzupełniało, i że mój dziad znowu, patrzał na to jak ostatni „semper Augustus“ rzymskie państwo niemieckie rozwiązał. Jaką zaś linię wykréślał ten półtora tysiączny łańcuch lat ztamtąd tu przez te pięćdziesiąt czy nie wiem wiele moich rojów familijnych, nie powiem, rzecz mi to wcale obojętna; ale to rozumiem że linia owa nie prężyła się jak struna, lecz się snuła jak jakie „perpetuum mobile“; boć też prawdziwe to jest „perpetuum mobile“ gdy spojźrzę na skalę rodowodu mego: ja pisarz, mój przodek pachołek, ja do stołka, tamten do gleby przykuty. Ale chociaż nie wiem czém byli ojcowie moi i co robili, za to wiem doskonale czego się dożyli; a to dla mnie fundament.

Wyliczam sobie na palcach: jeden z nich był obecnym kiedy jego bogów posągi szły

pod krzyż na podwaliny; drugi chwytał za krzyż i wlókł się do ziemi świętéj, chyba że nie domagał; trzeciemu wydał się, prawie w oczach, kościoł o samych łukach iglastych; czwarty pomagał fundować klasztor; piąty krzątał się z sąsiadami jakby go spalić, a może i sam palił; szósty jeździł po dyspensę do Awinionu; siódmy, a to piérwszy swojego rodu, zapinał się na guzik; osmy, co ten to najznakomitszy — piérwszy zasłyszał o Turkach w Konstantynopolu, nie posiadał się z dziwu na widok książki drukowanéj, i piérwszy brał do rąk porządną strzelbę. A ten ósmy miał syna, który piérwszy obracał w palcach złoto mexykańskie; a tego syna syn przechyrzył się w ewangelika, syn ewangelika zaś się w katolika przerzucił. Katolika syn uronił z życia swego dziesięć dni z kalendarzem grzegorzańskim, a wnuk po nim przez pokój Westfalski dostał dopiéro nad sobą pana. O tym samym czasie musiał być także ktoś z moich co z zadziwieniem się przysłuchiwał jak pukało w norymberskiéj głowie, kiedy przez tubę zaglądał na niebo i roiło mu się że słońce ustało krążyć w około ziemi. Nie będę się upierał, ale nie wątpię że z dalszych potomków był przynajmniéj jeden co nosił perukę, a po nim wielu którzy zawijali warkocze, i w galony się obszywali. Mój dziad strażnik w Wetzlarze nieustającéj sprawiedliwości patrzył jak się wzbijał w obłoki Montgolfière, i jak zachodziła gwiazda Fryderyka, widział w zenicie kometę Bonaparte, i jak z buraków wycedził się cukier. Mój ojciec dożył się piérwszego parowca, związku celnego i pruskiéj konstytucyi, a ja sam, byłem przeszłego roka na paryskiéj z całego świata wystawie, i widziałem tam, niemal większy cud niźli była sama wystawa paryska, widziałem Napoleona III.

Jeżli kto więcéj prawić umie o swoich przodkach niźli ja powiedziałem o moich, przysięgam że słuchać nie warto, nawet chociażby prawdę mówił. Lecz, iż każdy ze spółczesnych wié o rodzie swoim w ascendencyi na jotę tyle, ile ja wiem o moim, więc oczewiście żeśmy wszyscy bez mozołu i pracy odziedziczyli równe prawo do masalnego spadku oświaty. Każdy z nas jest bezpośrednim potomkiem odwiecznego szeregu wyrobników, którzy w tym lub owym zawodzie, na wielkim czy małym urzędzie pracowali w posłudze Dziejów. Pokażcie mi, gdzie chcecie chałupę jaką, by się nie troczyło za nią pasmo zdarzeń wstecz aż do samego zaświtu piérwotnéj wiedzy? za każdą wlecze się nić węzełków nieprzeliczonych, a te węzełki unaoczniają nawiązkę rozmaitych pamiątek ustateczniionéj pod ów czas oświaty. Tylko że te pasma gdy je okiem śledzimy, byle krok za dzień dzisiejszy, plączą się między sobą że ani ich rozplątać, i im daléj za dzieje spółczesne, albo się wzbijają w turmę, albo się rozścielają rozłogiem w otwarte pole, jak lużna pustka bez pana, którą kto chce sobie przywłaszcza, zasiedla, kopie, orze, ryje, przewraca, i przy pomocy bożéj przetwarza jak chce albo rozumie.

Otóż-to takim popadłem myślom gdym był na wielkiéj wystawie. Mogłem bezpiecznie, chociaż ciżba ludzi była niezmierna; bo co mi mogło przeszkadzać? nie wniosłem na wystawę ani świstka, i sędziom kłaniać się nie potrzebowałem. A kiedy się niema o czém myśléć, tedy się myśli o wszystkiém, w głowie roi się jak w ulu, kiedy jest coś co duszę potrąca, więc się myślało o losach rzeczy co wyszły z rąk ludzkich, i o ludziach samych, i o dziejach ludzkości, i o tém wszystkiém co tu powiedziałem.

Mówiłem sam do siebie: wszystko co tu w tych warstwach nieprzebranych leży, wisi, pnie się i szczerzy, wszystko to stoi za wyraz spółczesnego mi rodu ludzkiego, składa cząstkę ducha, świadectwo mądrości i dzielności człowieka. Tu zmyślna prześlica, tam przepyszna strzelba, strojne odzienie, cudowne obuwie, to płótno, drzewo, kruszec, szkło, porcelana w setnych kolorach i kształtach, to wszystko spółcześnicy moi, jak te

tłumy luda co zalegają przestrzenie gmachu; i niech robią co chcą, niech wyglądają w kształtach jakich im się podoba, i materyał niech będzie najzmyślniejszy, nie dokażą nigdy by nie były z połowy wieku dziewietnastego, i ci ludzie z całą potęgą swoją, żaden z nich na jotę, obecności nie ominął, chcąc nie chcąc wszyscy bawią w samym środku dziewietnastego stulecia.

I założyłbym się — lecz na co? nic pewniejszego że każda z tych rzeczy, jak człowiek, ma swój własny rodowód, ale to każda, każda, droga czy tania, od tego wykwintu modnego, do owego garnka co udaje Etrura, każda pradziada z raju wywodzi. Z téj toalety wyglądają dwie prababki, z tamtego świecznika szczerzy się ze czterech pradziadów. Lecz chociaż niezawodna że mają swój rodowód, niepodobna go wypisać zupełnie; to samo co z ludźmi. Każdy człowiek stoi na szczycie piramidy, która się z-igliła z tysiącznych pasm familijnych, i z biegiem czasów wzbiła się w podniebie. Ci co na szczycie, jeżli wiedzą z jakiego materyału ta piramida powstała, to są rodowi i herbowni, a takich mało, bo najczęściéj zbudowała się ta piramida z brył, rozmaitego kamienia, opoki, granitu, co składają warstwy plemienne naszego rodu. Zaś co z ręki ludzkiéj powstaje, to wszystko świerczała; bo we wszystkiém na co tu patrzę, nie znajdę ani jednéj rzeczy by miała czterech prawych, nieskalanych przodków, a gdzież dopiéro szesnastu! każda z nich jest płodem skoligaconych tysiąca pomysłów, co większa, częstokroć cudzołożnych. Zdawałoby się patrząc na ten telegraf co przekrada myśli ludzkie z za mil tysiąca, że ten telegraf mówię jest „proles sine matre creata“; a przecież i telegrafy są wnuki pomysłów wiela i dawnych generacyi.

POWIEŚCI z KUBY.

I.

Założenie Hawany.

O piękném położeniu, słodyczy nieba i wdziękach kobiét w Hawanie pisali drudzy, ja wolę z ust ludu donieść, jak się założyło „*Siempre fiel ciudad de Habana*“ zawsze wierne miasto Hawany.

Wkrótce po odkryciu Kuby za Krzysztofa jeszcze Kolumba, szukali Hiszpanie miejsca gdzieby tu twierdzę wystawić, ażeby panować się dało nad wodami zatoki mexykańskiéj. Szukali długo wkrąż wszystkich wybrzeży, wreszcie dopatrzyli wązkiéj cieśniny między skałami która ztamtąd rozchodziła się w rozległą zatokę. Kryjówka jakby z umysłu zrobiona, i inżynierowie zaraz wyrzekli że twierdza w tém miejscu będzie w stanie stawić czoła wszelkiemu niebezpieczeństwu. Hiszpanie wylądowali zatém, gdzie dziś twierdza Moro, i postanowili tu się osiedlić.

Na przeciwko z tamtéj strony zatoki na rozległéj płaszczyźnie mieli Indyanie swoje osade, a Hiszpanom odstąpić nie chcieli za nic w świecie. Tu-śmy się porodzili, tu spoczywają kości ojców naszych, tu i my pomrzemy,—mówili. Odjechali Hiszpanie, ale w duszy postanowili zdobyć wioskę przemocą jak tylko w siłę się wzmogą, a tymczasem po swéj stronie zbudowali warownię „Reglas“ gdzie się dziś kwarantana odbywa. Utwierdzili ją jak można było na prędce, zostawili załogą sześćdziesiąt ludzi pod dowództwem Don Sanchez de Ribeira, młodego oficera wojsk królewskich, a przy nim osiadło kilka rodzin andaluskich chłopów. Indyanie przeczuwali coś niedobrego, zaczęli się także okopywać, i sypać wały za przykładem sąsiadów, ale na pozór zachowali się gościnnie, przybywali na targi do Reglas, kupczyli z osadnikami, przynosili płody swoje, czasami i kruszce droższe nabyte gdzieś na lądzie i mieniali za towary europejskie.

Na takich schadzkach widywał Don Sanchez młodą piękną dziewczynkę, córkę zna-

komitszego naczelnika Indyan, poznał się z nią, i tajemnie ożenił właśnie pod ów czas gdy przybywał okręt hiszpański z nowo zaciężnym ludem, z postanowieniem wycisnąć Indyan z ich posiadłości. Związki dziéwczęcia nie uszły oka jéj rodowców, popadła w pogardę wioski całéj, a wkrótce gdy Hiszpanie obsaczyli im osadę, musiało dziéwczę znosić wszystkie ciężary nienawiści jaką lud tchnął ku Hiszpanom, i spadła na nią ciężka niewola i sromota służebnéj ciemiężliwości.

Szlachetny Don Sanchez, przejęty duchem rycerstwa, postanowił wbrew grożącemu niebezpieczeństwu, wyrwać to dziéwczę z upodlenia. Potajemnie podszedł do wsi, odszukał ją i umówił się. Biedaczka zaznała tyle goryczy u krewnych swoich, że przywiązanie rodzinne przetworzyło się u niéj w nienawiść śmiertelną. Pragnęła pomsty i podała Hiszpanom sposoby. W kilka dni w noc ciemną postąpili z wojskiem pod okopy w oczekiwaniu hasła; nagle z pośrodka wsi buchnął płomieniem słup ognisty w górę, wszczęła się wrzawa i krzyki, a Hiszpanie korzystając z trwogi i z zamięszania, wdrapali się bezpiecznie po drabinach za wały, i podali całą ludność na miecz i pożogę. Spełniła się Indyanom wola, pomarli gdzie się rodzili, poginęli gdzie żyli.

Téj nocy krwi i mordu, Sanchez jeden szukał sposobu jakby uratować, jakby uchować od zguby swą żonę; dopatrzył ją na dachu jednym, którego oścień już płonęła w płomieniach. Na próżno wzywał ją po imieniu, duszę mu zgroza przeszyła, gdy postrzegł że widmo pomsty obrało kochankę jego z rozumu.

Stała na dachu jak upior, czarna jéj kosa rozniecioną na polot wiatrów, wargi zapienione posoką, w ręku jednym miecz krwawy, w drugim gorejąca pochodnia; tak stała dumna jak mściciel z piekieł, kiedy stoi nad popiołami przybytku swego i nad trupami rodziny swojéj; z wrzaskiem wywoływała przekleństwa na lud swój i nieustawała aż pod pożarem serce jéj pękło. Padła, piérwsza zdrajczyni narodu Indyan, a potomność nie zachowała imienia jéj. Kilka kobiét co uszły miecza, opłakiwały ją, i litując się pamięci po niéj, wołały na nią: „*Hawana*“ co miało znaczyć „Szalone dziéwczę“ któremu duch mściciel mózg rozorał ognistym palcem. Ale Hiszpanie na tych zgliszczach zdobytéj wioski założyli miasto, i nadali mu w pamięć zdarzenia tego owe indyjskie imię.

Sanchez zaś wystawił na onem miejscu zgonu pomnik swojéj kochance; stoi dziś jeszcze w posągu za miastem gdzie są spacery, ale tak za krzskami w ukryciu, że wielu o nim i nie wié; dla tego Kreole mówią do cudzoziemca: „Kiedyś do Hawany przyjechał, idźże zobacz Hawanę.“ Statua wyobraża biedną Indyankę w chwili najwyższego szaleństwa.

PIOSNKA RAGUZAŃSKA.

Ljubi duszo ko ti ljubi,
Ljubjenoj se podaj sreczi;
Er ko ludo ljubav gubi,
U vieke je necze steczi.

Vidim, vidim, da me ljubisz,
Ljubav każesz da me nosisz;
Al mi tużno sárce dava
Da ta ljubav nie prava.

Lubeżice sárca moga
Vratmi sárce szto si ukrala,
Ali moje, ali tvoje
Samo nek se sárce zove.

Sárce moje i sárce tvoje
Sopletenoe u ljubavi,
Kao berslan oko duba
U zelenoj toj dubravi.

Da bi od dubja zelenoga
Listi mogli bit jezici,
Oni bi ti svjedoczili
Ljubav moju svikolici.

Lubuj duszo kto cię lubi,
I lubéj się podaj doli;
Bo kto płocho miłość gubi,
Wiekami jéj nie zniewoli.

Widzę, widzę że mię lubisz,
Że miłością ku mnie goresz;
Lecz mi tęschne serce prawi
Że twa miłość mię nie zbawi.

Grabicielko serca mego
Wróć mi serce coś zabrała,
Albo moje albo swoje
Byleś tylko serce dała

Serce moje i serce twoje
Oplecione jest miłością,
Jak powojem drzewo w dwoje
Lub dąbrowa zielonością.

Oby dębu zielonego
Listki mogły być języki,
Same by ci poświadczyły
Moją miłość na wiek wieki.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*